

## DZIECKO KAMIENIEM PROBIERCZYM DOBRA I ZŁA

Kwitła kiedyś na jednym z obszarów, obecnie duchowo niedorozwiniętych, naszego globu wielka cywilizacja. Jak wszystkie wielkie cywilizacje, opierała się ona na religii powszechnie wyznawanej i nią się kierowała, religia zaś przenikała całe życie codzienne i była widoczna w strukturach porządku społecznego i politycznego, znajdując żywy oddźwięk w życiu i zachowaniu się wielu, łącznie z wojskiem i władcami. A jednak już o wiele wcześniej, zanim wspomniana cywilizacja zaczęła rozkwitać, gdy założyciel religii światowej, Bóg wcielony, chciał ukazać swoim uczniom zasadę-drogowskaz życia, wziął dziecko, uścisnął je i podał im je za wzór mówiąc: „Jeśli się nie... staniecie jako dzieci, nie wniejdziecie do królestwa niebieskiego”.

Wszyscy, wierzący lub nie, powinniśmy uznać, że nie był to wcale gest dowolny. Było to tak, jak gdyby nieoczekiwanie samo dziecko stało w centrum świata jako obraz powszechności oznaczanej, obraz przemieniający prostotę dziecięcą w drogowskaz ustawiony na drodze naszej samorealizacji. I, na przestrzeni wszystkich późniejszych epok, obraz ten powinien stanowić zachętę do dochowania wierności temu, czym w rzeczywistości winniśmy być, dochowania wierności dziecku, którym byliśmy, wierności naszym pierwszym krokom na ziemi; jest on zaproszeniem do dostosowania naszego dzisiaj do naszego wczoraj.

Stajemy ponownie w obliczu jednego z wielu paradoksów życia ludzkiego: jedynie wejście w prostotę dziecięcą pozwala nam żywić nadzieję, że się przeobrazimy w rzeczywiście dojrzałe istoty ludzkie; a więc, tym samym, że odkryjemy to, co naprawdę się liczy w tym życiu, i zaczniemy widzieć rzeczy takimi, jakimi są w swej istocie.

W terminologii psychologii rozwojowej oznacza to, że posiadane przez nas wyobrażenie o naszym możliwym „ja”, a więc ten idealny obraz siebie, do którego nasze „ja” zwraca się w nakreśleniu samego siebie, stanowi spojrzenie w przyszłość, uwzględniające zarazem mit naszego pierwszego dzieciństwa. Tak więc pojęcie tego „ja”, które ktoś przypisuje sobie wyobrażając, że nim jest, wynika zawsze z interakcji z innymi, a przede wszystkim z własną matką. Przedkładany dziecku przez matkę obraz samego siebie uwzględnia bowiem zawsze jej własne wyobrażenie. I na

odwrot, sposób, w jaki dziecko patrzy na matkę, wpływa nieuchronnie na wizję, jaką będzie miało o sobie samym.

W ostatnich stadiach rozwoju to samo odnosi się do naszych stosunków międzyosobowych i do utożsamiania się z innymi, nie wyłączając postaci historycznych. Człowiek uczy się w ten sposób patrzeć i analizować czyimiś oczyma, a nawet modyfikować siebie za pośrednictwem czyjegoś spojrzenia. W konsekwencji nasze indywidualne dojrzewanie znajduje się nieustannie pod wpływem tego pojęcia, jakie mamy o sobie, a także tych pojęć, jakie inni mają o nas, a my o nich. Jeżeli proces taki przebiega harmonijnie, może w rezultacie doprowadzić do powstania idealnego „ja” indywidualnego, zakorzenionego w „ja” rzeczywistym, a więc możliwego. Będzie to zatem rozwój ciągły, dzięki któremu pojawia się — jak to powinno mieć miejsce — osoba pozostająca rzeczywiście w stadium stawania się.

Jednakże dziecko, które się znajdzie wobec wynaturzonego obrazu samego siebie, dziecko upokorzone i sterroryzowane może zacząć nienawidzić siebie i w swym zrozpaczeniu przekreślić możliwość stania się tym, czym ma być. Chcąc natomiast zdobyć przynajmniej odrobinę szacunku dla samego siebie, będzie mogło skończyć pójściem za nierealistycznym obrazem siebie, a tym samym ukazaniem wyraźnej pseudo-osobowości, która nie odpowiada i nie może odpowiadać jego „ja” realnemu. Niekoniecznie jednak rozwój taki musi prowadzić do wynaturzeń, bądź też do wtórnego dzieciństwa, a to dlatego, że nierzadko występuje tutaj silna predyspozycja do równie agresywnej formy samowylaszczczenia. Istnieje ciągła pokusa — zwłaszcza w dobie materializmu, i to na skutek neurotycznego, a nawet występnego przeceniania samych siebie — snucia różnych urojeń oraz zmuszania świata do przyjęcia takiego obrazu nas samych, jaki nie odpowiada i nie może odpowiadać temu, czym rzeczywiście jesteśmy albo czym się stajemy. A to jeszcze z wielkim bagażem egoistycznych roszczeń, próżnej chwały i samouwielbienia oraz różnorodnych zawiści, które z tym się wiążą. W praktyce oznacza to niejako zabicie tego dziecka, jakie w sobie nosimy. To zaś może stać się punktem wyjścia dla wszelkiego zła<sup>1</sup>.

### Świadkowie zła

Zabijanie dzieci lub powodowanie ich cierpień jest niewątpliwie bardzo złą rzeczą. A przecież napisano: „Jeśli ktoś gorzy jedno z tych najmniejszych... lepiej by mu było, gdyby

<sup>1</sup> Na temat psychopatologii autoalienacji napisałem już wiele w: *Verreemding en Verslaving, Nijmegen 1978.*

powieszono kamień młyński na jego szyi i wrzucono go w otchłań morza”. Dlaczego tak miałoby być? Dlaczego ten rodzaj zła nie zasługuje na żadne przebaczenie? Prawdopodobnie dlatego, że zło wyrządzone dzieciom jest w jakimś sensie złem absolutnym. Jest złem wynikającym z miłości do zła; nie ma innej racji poza tą; jest całkowicie niezrozumiałe i niewytłumaczalne, nie znajduje żadnego usprawiedliwienia. Zło popełnione przez dorosłych może zostać zakamuflowane i wiele jest szat, pod którymi może się ukrywać. Gdy jednak popełni się je wobec dzieci, ukazuje ono wówczas całą swą szpetotę i rzeczywistość nie do zniesienia. Jest niejako „uchyleniem maski” szatana, po którym nie ma już odwrotu. Albowiem skoro raz się dojdzie do tego momentu, fascynacja przewrotnością zdaje się przekraczać tę granicę, poza którą nie istnieje inne pragnienie, ani też jakaś inna droga wyjścia, jak tylko dalsze zanurzanie się w coraz to ciemniejszych głębinach otchłani, i to z taką nieodwracalnością, jakby się miało uwiązany kamień młyński u szyi.

Nie jest rzeczą wykluczoną, że z tego właśnie względu liczni autorzy, chcąc ukazać w sposób bezwzględnie jasny rolę zła, odwołują się dosyć często do cierpień dziecięcych. Chodzi o cierpienia, które wprowadzają, w rzeczy samej, w sytuację ambarasową zwłaszcza w odniesieniu do nadzwyczaj trudnego pytania: czy mamy wierzyć, przyjąć Chrystusa, czy też nie? W swej powieści *Szardyk* (zresztą mało wartościowej) współczesny pisarz Richard Adams poświęcił jeden rozdział handlarzowi niewolników, zapewniając, że opowiadanie jego odzwierciedla fakty rzeczywiste a nie jest wytworem chorej wyobraźni. Oszczędźmy jednak szczegółów. Chodzi o handlarza wędrującego przez dżunglę z nieszczęsną grupą dzieci, które sam pojmał i powiązał. Podczas długotrwałego marszu torturuje on i kaleczy dzieci zmuszając je do wzajemnej walki ze sobą. Wreszcie, po wyjściu z zarośli, sprzedaje z wielkim zyskiem dzieci pozostałe przy życiu, które — wychudzone i okaleczone — zdają się przedstawiać niemałą wartość jako nieletni żebracy.

Albert Camus poruszył zagadnienie cierpień dziecięcych w *Dzumie*. Dla doktora Rieux, gotowego przymknąć oczy na wszystko inne, cierpienia nieletnich stają się punktem zwrotnym. Razem z innymi był on obecny przy wstrząsającej śmierci jakiegoś chłopca. A gdy było już po wszystkim, ksiądz Paneloux zauważył: „może powinniśmy kochać to, czego nie umiemy pojąć”. Wówczas Rieux odpowiedział: „Nie, mój ojciec. Inaczej rozumiem miłość. I do śmierci nie będę kochał tego świata, gdzie dzieci są torturowane”.

To z kolei prowadzi do Dostojewskiego. Iwan Karamazow,

przeżywając konflikt wewnętrzny, chce udowodnić swemu młodszemu bratu, Aloszy, istnienie zła. Zwłaszcza zaś tego, którego bestialskość przerasta nasze wyobrażenie i wobec którego winna rozbić się na kawałki właściwa pobożnemu Aloszy zdolność przebaczenia. Pozostaje bowiem ona w całkowitej dysproporcji do naszej współodpowiedzialności za winę powszechną. Iwan referuje przykłady autentycznego sadyzmu popełnianego wobec dzieci. Ostatnie jego opowiadanie ma na uwadze właściciela: miał on chłopczyka niespełna 8-mioletniego, który popełnił zupełnie błahę wykroczenie; został rozebrany wobec grupy gości udających się na polowanie; następnie kazano mu biec przed ścigającymi go oprawcami, a gdy chłopiec mimo woli, wiedziony strachem, zechciał ratować się ucieczką, gospodarz wysłał za nim psy, które rozszarpały go na strzępy na oczach rodzonej matki. Kończąc swą opowieść Iwan zapytuje: „Jeżeli wszyscy powinni cierpieć, aby cierpieniem okupić swoje wieczne szczęście, to co tu robią dzieci?” Odrzuca więc z góry to wieczne szczęście, którego ciężar nie jest w stanie przewyższyć jednej jedynej lzy torturowanego dziecięcia. Dla niego cena jest o wiele za wysoka, zwraca więc swój bilet w tępę. Mówi do Aloszy: „Nie, Boga nie odrzucam<sup>2</sup>, tylko zwracam Mu z szacunkiem bilet”.

Wiele jest tekstów mówiących o złu, o naszym złu, jakie możemy zawsze, w taki lub inny sposób, popełniać wprowadzając je w określony schemat z myślą, by je usprawiliwić i uzasadnić. Nie jest, co prawda, to możliwe, by zło nasze miało się kiedyś objawić w cierpieniu małych niewiniątek. Trzeba jednak przyznać, że zanim ujawni się ono w jakiejś desperacji, było już widoczne w nas samych. *Mysterium iniquitatis*. Niemniej wymowne świadectwo w tym względzie dają ci wszyscy, którzy znaleźli się kiedyś w obozach koncentracyjnych; ci, którzy — jak mówi Floris Bakels — powrócili ze świata, do którego człowiek nie powinien mieć nigdy możliwości wejścia<sup>3</sup>. Zapytywałem ich niejednokrotnie o najbardziej torturujące myśl wspomnienie. I bardzo często, zawsze ze łzami w oczach, odpowiadali wskazując na dzieci. Choćby wspomnienie chłopca, samotnego i opuszczonego, który został powieszony przed grupą więźniów zniewolonych do przy-

<sup>2</sup> W przekładzie polskim A. Wata popełniono także w tym miejscu pomyłkę: „Nie, Boga nie przyjmuję...”, co zniekształca zupełnie myśl autora. Również zamiast o „wiecznym szczęściu” tłumacz pisze o „wiecznej harmonii”. Por. F. Dostojewski, *Bracia Karamazow*, Warszawa 1959, t. I, s. 292. Czy godzi się w ten sposób zniekształcać tekst oryginalny? — przyp. tłumacza — LB.

<sup>3</sup> F. B. Bakels, *Nacht und Nebel. Mijn verhaal uit Duitse gevangenis-en en concentratiekampen*, Amsterdam 1977.

glądania się z oddali. Albo też wspomnienie dzieci żydowskich, które szły rzędem nad brzegiem rowu i były niejako koszone miotaczem ognia. Ktokolwiek musiał być niegdyś świadkiem tego typu wydarzeń, pozostanie na zawsze człowiekiem napiętnowanym: dotkniętym ciemnościami zła, mrokiem tego świata, który stara się nie dopuścić do tego, by zajaśniało Światło, mordując dzieci niewinne.

Można by nawet postawić pytanie, czy całe zło, które tylko jest w stanie znaleźć dla siebie możliwość realizacji, nie kończy się nieuchronnie na dzieciach, znajdując w nich swoje żertwy, bądź też zniewalając je do pójścia za sobą? Cóż w dalszym rozrachunku na jedno wychodzi. Obie te ewentualności są zresztą formami tej samej okrutnej profanacji: upokorzenia oraz okaleczenia całkowicie bezbronnej niewinności i znieprawionej prostoduszności. Tu bowiem tkwi na ogół główny motyw jego obecności: chodzi o to, by zbrukać i zniszczyć niewinną czystość, zamordować ostatni rys człowieczeństwa, jaki pozostaje jeszcze w nas samych, a tym samym w świecie. Jest to więc nienawiść samych siebie, występująca u tych nieszczęśliwców, którzy znajdują najwyższe i fatalne zarazem zaspokojenie własnych pragnień w zabijaniu „la petite fille *ésperance*”, wykańczając tym samym to, co zostaje w nich jeszcze z dzieciństwa.

Każda nienawiść jest nienawiścią siebie samego, każde zaś niszczenie jest aktem rozpaczony: rozpaczony, że nie zdoła się już stworzyć tożsamości, że nie osiągnie się już nigdy całości i pełni ani też nie zrealizuje swego jedyne go cyklu życiowego — jakby to powiedział Erikson. Może chodzi tu o triumf windykatywny nad słabym, o zemstę wykonywaną nad dziećmi. Tak czynią wszyscy. Występuje to w ideologii tyraństwa, tak postępuje sadysta, tak też — zboczeniec seksualny. Kończą zawsze raniąc nieletnich. Nie jest więc czymś specjalnie nowym fakt, że nie tak dawno dzienniki opublikowały zdjęcie jedenastoletniej gołej dziewczynki grającej główną rolę w filmie pornograficznym.

### W imię demokracji

Mimo to, gdy tylko jakiś ksiądz wypowie się za utrzymaniem choć minimum cenzury, większość polityków stara się rozszarpać wszelkie więzy — a to w imię rzekomej wolności i emancypacji. Jak gdyby komuś wyszło kiedyś na dobre oglądanie filmu pornograficznego albo też jakoby ludzie mieli odnieść poważne szkody psychiczne na skutek niemożliwości oglądania takiego filmu. Niekiedy odnosi się nawet wrażenie, że stopień wolności i demokracji danego kraju mierzy się ilością pornografii, gwałtów, bezbożności

i seksu, na które ludność jest wystawiona. Jak gdyby demokracja miała się równać pornokracji.

I właśnie tutaj pojawia się pytanie: czym jest demokracja? Oznacza ona z jednej strony coś więcej od nadmiernego wpływu państwa (socjalizm), czy też skrupulatnej tolerancji z drugiej strony (liberalizm). Nie oznacza także wyłącznie stanowienia równych praw i obowiązków dla wszystkich (choć jest to rzeczą zasadniczą). Demokracja oznacza przede wszystkim — obok uznania odrębności zachodzącej między ludźmi — szacunek dla godności każdej jednostki. I to właśnie jej ujęcie pociąga za sobą niezmiernie ważne dla życia publicznego konsekwencje: obejmuje sobą prawodawstwo, wychowanie dzieci i młodzieży, wykorzystanie czasu wolnego itd. Albowiem szacunek dla drugiego człowieka to nie tylko zapewnienie ochrony prawnej każdej istocie ludzkiej od chwili jej pojawienia się na świecie ani też sama tylko troska o jej zdrowie fizyczne czy też ochrona przed wyzyskiem ekonomicznym, ale także ochrona nas samych przed wyniszczającym działaniem naszych niszczyielskich skłonności. Ochrona, którą się skutecznia, między innymi, poprzez obronę i umacnianie moralnych przekonań człowieka oraz niewystawianie, zupełnie bezcelowe i bezsensowne, jego zmysłu moralnego i estetycznego na jakieś gwałtowne ataki. I tu właśnie tkwi problem, albowiem w produkcji pornograficznej nie da się absolutnie odkryć choćby odrobiny aspektu pozytywnego. Cała tego rodzaju produkcja motywowana jest jedynie zyskiem pozbawionym jakichkolwiek skrupułów, opiera się też zawsze na degradacji osoby i na ujarzmianiu jednego człowieka przez drugiego. Tak zwana „liberalność” pozostaje zatem zawsze w sprzeczności z samą istotą demokracji, z ochroną i uznaniem godności ludzkiej.

Waga naszych słów opiera się na najbardziej zasadniczym kryterium nastawienia, jakie przejawiamy wobec dzieci, do których koniec końców wszystko zawsze wraca. Jeżeli ktoś świadomie okrada dzieci z ich godności — i życia — ten przegrał już sprawę, zanim jeszcze został powołany przed sąd. Poznaje się naród po sposobie odnoszenia się do dzieci. I — moim zdaniem — teoretycznie niemożliwą jest rzeczą, by mógł być dobrym ten rząd, który dopuścił kiedyś i usankcjonował przerywanie ciąży. Nie mówię o tych przypadkach, kiedy to ktoś nie widząc innej drogi wyjścia może stać się łupem desperacji. Mówię o zalegalizowanym przerywaniu ciąży, a więc o prawnym usprawiedliwieniu zła, które staje się tym samym oficjalnie uznaną częścią życia codziennego. W tym przypadku nie ma już miejsca na dyskusje: wszelkie słuszne zamierzenia polityczne i podejmowane reformy zostają skazane na to, że sta-

na się pozbawionymi treści gestami, niezależnie od tego, że mogły być słuszne i uzasadnione same w sobie, a ich twórcy byli skądinąd ludźmi sympatycznymi i znającymi się na rzeczy w wielu innych dziedzinach. Spostrzeżenie bardzo deprymujące! W rzeczy samej interesuje mnie jednak sprawa następująca: jeżeli godność osobista, niezależnie od zdolności lub od stadium rozwoju osobowości, jest kamieniem węgielnym demokracji, to powinno się to ujawniać w naszych metodach wychowawczych i w sposobie przychodzenia z pomocą naszym dzieciom, w naszej zbiorowej i indywidualnej postawie wobec dzieci, aby nie było poniżającego ich niedowartościowywania ani też przesadnego przeceniania. Jedynie godność! Ona to stanowi jedyną drogę wiodącą do uzasadnionego szacunku dla siebie; tu tkwi także klucz do dojrzewania każdej osobowości.

### Wychowanie a rzeczywistość społeczna

W książce *Childhood and Society* (Dzieciństwo i społeczeństwo) Erik Erikson opisuje odwiedzinę jednej ze wspólnot Indian Papago. Podczas rozmowy głowa domu zwraca się do swojej wnuczki trzyletniej, polecając jej, by zamknęła drzwi. Nie jest to dla niej rzeczą łatwą, albowiem drzwi są dosyć masywne; dlatego też dziadek musi kilkakrotnie powtarzać swe życzenie. Nikt się nie zrywa, aby pomóc dziecku i wykonać zadanie za niego. Z drugiej jednak strony nikt też nie traci cierpliwości, albowiem dziewczynka jest ostatecznie maleństwem. Wszyscy obecni siedzą spokojnie przyglądając się, czy dziecku uda się spełnić wolę dziadka, a gdy mu się to udaje, dziadek z powagą dziękuje dziewczynce. Naszkicowane tu wydarzenie ma oczywiście na celu ukazanie pewnego kontekstu psychologiczno-kulturowego. Można założyć w tym przypadku, że dziewczynka nie otrzymałaby tego zadania, gdyby ono przerastało jej siły; skoro zaś raz jej to powierzono, spoczęła też na niej cała odpowiedzialność, jak gdyby już była osobą dorosłą. W ten sposób system wychowawczy tych Indian ukazywał się jako dostosowany do faktycznych możliwości dziecka w określonym wieku i związanych z nimi odpowiedzialności społecznych z uwzględnieniem ewentualnych form udziału w życiu wspólnotowym.

Przykład stanie się o wiele jaśniejszy, jeśli się go zestawi z jakąkolwiek rodziną, w której niecierpliwa bądź też zanadto opiekuńcza matka pozbawia dziecko wszelkiej odpowiedzialności, albo też w której dziecko bywa karczone wówczas, gdy rodzice są zmęczeni, przesadnie zaś chwalone, gdy mają dobry humor. A wszystko to się dzieje bez najmniejszej troski o to, kim faktycznie jest dziecko, co ono czyni albo może czynić. Pod tym wszakże względem szczypty pierwotne znajdowały się w o wiele korzystniejszym położeniu

aniżeli ludzie należący do społeczności uprzemysłowionej, w której dzieci nie mają żadnego dostępu do systemu produkcyjnego i z trudnością tylko mogą uczestniczyć bezpośrednio w rzeczywistości społecznej. Dzieciństwo staje się tutaj jakby jakimś segmentem sztucznie odłączonym od życia. W tym tkwi także przyczyna, dla której aż do ostatnich czasów ukrywano bojaźliwie, w społeczności zachodniej, przed dziećmi wiele spraw, jak słabości i błędy dorosłych, czynności prokreacyjne i fizjologiczne, występki, choroby, śmierć itp. W każdym bądź razie, jak to zauważył Erikson, studium współczesnych nerwic wskazuje właśnie na tę rozbieżność między wychowaniem a rzeczywistością społeczną<sup>4</sup>.

Można by się też zapytać, na ile takie nieokreślone położenie, wyznaczane wielu dzieciom w epoce przemysłowej, łączy się z negatywnym w swej istocie nastawieniem do nich. Nastawieniem, dzięki któremu — z racji nieodpowiedniej ciąży i związanego z nią potem karmienia, a także ofiar pieniężnych, bądź też wzrostu liczby ludności — dzieci stają się przeszkodą w realizowaniu własnych planów życiowych przez dorosłych. Niegdyś posyłało je do pracy w fabryce lub na kopalni, albo też na ulice, bądź też zamykano osobno w ich pokojach. Dzisiaj nie mają nawet prawa do narodzin. Rodzina wielodzietna staje się — wszyscy o tym wiemy — rodziną antyspołeczną.

Niepewne położenie dzieci w społeczeństwie współczesnym mogłoby się stać w pełni wystarczającym powodem, by nie pokładać wszystkich naszych nadziei na rozwiązanie problemów świata w nieprzerwanym postępie ekonomicznym, pociągającym za sobą coraz to nowe organizacje i coraz to bardziej gigantyczne przedsięwzięcia, ale bardziej jeszcze anonimowe i niezrozumiałe. Powodem do takiego układania życia społecznego, a zwłaszcza procesów produkcyjnych, które by się liczyło z człowiekiem, przede wszystkim zaś ze stylem życia rzemieślników i rolników. Pozwoliłoby to bowiem z pewnością odnowić niesłychanie prawdziwe wartości oraz godność człowieka — poniewierane często dzisiaj na tle ekonomicznym — na pierwszym zaś miejscu wartość i godność dziecka. Tendencja ta zdobywa już w rzeczy samej przestrzeń, chociaż dzieje się to — chwilowo — pod postacią różnorodnych form niesienia pomocy „Trzeciemu Światu”<sup>5</sup>. Rozpowszechniona jest także praktyka „brania na siebie winy”, zmierzająca w tym samym kierunku, a polegająca na tym, że wykonuje się prace ręczne na łonie rodziny, dostarczając tym samym dzieciom wyjątkowej okazji do pożytecz-

<sup>4</sup> E. H. Erikson, *Childhood and Society*, London 1950.

<sup>5</sup> Zob. w tej kwestii: E. F. Schumacher, *Small is beautiful*, London 1974.



nych zajęć i do pewnego utożsamienia się z rodzicami w atmosferze uczuciowo neutralnej. Rekompensuje to im także — pod pewnym względem — zatracenie obrazu „ojca pracującego”, albowiem obecnie ojciec wykonuje swe zajęcia zawodowe przeważnie z dala od domu, w urzędzie lub fabryce, i to zajęcia, o których dzieci wiedzą niewiele, jako że są to jego zajęcia. Można by także, w tym kontekście, postawić pytanie, czy nie byłoby rzeczą stosowną wydłużyć znacznie czas wolny od szkoły oraz opóźnić jej ukończenie. Chodzi bowiem o to, że możliwość zdobywania dalszych kwalifikacji zawodowych zostaje niekiedy przekreślona właśnie w tym momencie, gdy młodzi ludzie są już predysponowani do wykonywania danego zawodu. Dopóki jednak proces produkcyjny nie będzie się kierował miarą ludzką, predyspozycje takie nie będą miały również żadnej szansy rozwojowej. Albowiem praca ręczna wciąż jeszcze będzie traktowana jako mniej wartościowa od zajęć czysto intelektualnych, co jest w gruncie rzeczy całkowicie błędne.

### Rozkład rodziny

Tymczasem chodzi o pytanie: jak dalece jesteśmy gotowi, z miłości do dzieci, chronić rodzinę? Przed narodzeniem, środowiskiem naturalnym dziecka jest łono matki; po narodzinach środowiskiem tym staje się łono rodziny. I to właśnie stanowi zasadniczą „raison d'être” rodziny, która może się rozpaść, jeśli rodzice będą dawali pierwszeństwo sprawom osobistym, których nie da się pogodzić z wzajemną wiernością i ze wspólnym oddaniem dla dzieci. Ujmując to w znacznie szerszej perspektywie, można by powiedzieć, że im bardziej dane struktury społeczne chronią i popierają rodzinę, tym bardziej też się liczą dzieci w danej społeczności. Tak więc ponownie dziecko staje się miarą dobra i zła; albowiem właśnie nastawienie wobec dzieci, czyli wobec rodziny, pozwala stwierdzić, czy dane społeczeństwo znajduje się, czy też nie, na właściwej drodze.

Bardzo wyraźnym tego dowodem są ideologie totalitarne, które zawsze na początku starają się zawładnąć dziećmi i ustawić je przeciwko własnym rodzicom, posługując się w tym celu urzędową drogą szkolnictwa i organizacji młodzieżowych. Inną drogą prowadzącą do tego samego celu jest taka organizacja systemu społeczno-ekonomicznego, w której pensje nie są w stanie zaspokoić potrzeb rodziny, tak że matki są zmuszone do podejmowania pracy poza domem i do pozostawiania dzieci na wychowaniu państwowym.

Ilekróć taki system, naruszający powszechny porządek stworczy, utożsamia wieczną szczęśliwość ze społeczeństwem dobrobytu,

zwraca się zawsze do ludzi młodych, najpierw zwodniczo a następnie z groźbami, nie godząc się na to, by dzieci były wychowywane przez rodziców albo też pod wpływem Kościoła. Za każdym też razem stara się on okraść raj niebieski, by stworzyć go tu i teraz na ziemi, zaczynając wspaniałym snem rewolucyjnym i kończąc w „Nacht und Nebel” Zaczyna się wspaniałymi obietnicami nowej wolności, a kończy Oświęciami...

Oczywistą jest rzeczą, że tego rodzaju proces zmierzający do osłabienia rodziny może się także odbywać w sposób mniej rzucający się w oczy i bardziej spontaniczny. W naszej części globu taki niszczyielski proces rozpoczął się, jak się wydaje, wraz ze zmierzchem władzy ojcowskiej i łączącym się z tym obaleniem symboli ojcowskich przez ludzi „wyzwolonych” z końca XVIII w. i z początków w. XIX. Hasło „Wolność, Równość i Braterstwo” torowało drogę porzucenia i rozbicia hierarchicznego porządku ojcowskiego, który się równał z porządkiem boskim. Rewolucję zaś tę umacniała jeszcze równoczesna rewolucja przemysłowa wraz z towarzyszącymi jej okolicznościami, nie wyłączając olbrzymiego przyrostu ludności, czyli tzw. rewolucji demograficznej. Wszystko to przyczyniało się z kolei do nasilenia przemieszczeń geograficznych, do urbanizacji i upadku wartości, do tworzenia klimatu postępu i do współzawodnictwa z ojcami, z całym dotychczasowym pokoleniem. Wiodące wówczas idee wyłaniały się z różnych ruchów: z oświecenia i romantyzmu, gdy tymczasem darwinizm — wraz z koncepcją „przeżywania osobnika lepszego”, która miała być zasadą postępu ludzkiego — dostarczał bezpośrednio uzasadnienia moralnego dla odrzucenia ojców przez dzieci. Te ostatnie jednak wlokły za sobą, w najgłębszej głębi swego jestestwa, kompleks Edypa, jak to miał odkrywczo ukazać Freud<sup>6</sup>.

Poza wyżej wymienionymi do degradacji *paterfamilias* przyczyniły się także liczne inne czynniki psychologiczno-kulturalne. W konsekwencji znaleźliśmy się obecnie na drodze wiodącej do tego, co Mitscherlich nazywa „społeczeństwem bez ojców”<sup>7</sup>.

Po ojcu przyszła kolej na niewiastę z jej rolą matki. Z jednej strony, na skutek wygaśnięcia władzy ojcowskiej, pozycja jej nie mogła pozostać niezmieniona. Z drugiej natomiast industrializacja połączona z nową ideologią otworzyły jej drogę do fabryk, usuwając ją tym samym z właściwego jej miejsca na łonie rodziny.

<sup>6</sup> B. Mazlish, *James and John Stuart Mill. Father and son in the Nineteenth Century*, New York 1975.

<sup>7</sup> A. Mitscherlich, *Auf dem Weg zur Vaterlosen Gesellschaft*, München 1963.

Znany jest dobrze dalszy kierunek tego procesu, który — zwłaszcza pod płaszczykiem emancypacji — rozwija się nadal, tracąc z pola widzenia właściwe sobie cele. Zamiast być walką o równość wartości, staje się on walką o równość płci, a następnie o supremację kobiet, i to do tego stopnia, że tego typu roszczeniom towarzyszy obecnie nierzadko wyrażna nienawiść do mężczyzn oraz wzajemne uwielbienie wyrażane dla siebie przez panie. Skoro tak się rzeczy mają, przestaje zdumiewać fakt, że biologię kobiecą, predysponowaną z natury rzeczy do ciąży i macierzyństwa, przedstawia się coraz to bardziej jako krzywdę wyrządzoną niewiastom przez naturę, troskę zaś o rodzinę traktuje się w ciemnych kolorach jako działalność degradującą i sprowadzającą na bezdroża.

Tak więc za upadkiem ojcostwa podąża nieubłagane upodlenie macierzyństwa. Od tego zaś miejsca już tylko jeden krok wystarczy, by definitywnie zdyskredytować małżeństwo i rodzinę oraz odsunąć dzieci spod wpływu rodziców. Jawi się w ten sposób przy końcu tego procesu jakaś grossolańska dążność do zwracania wszystkiego w kierunku samouwielbienia i samorealizacji, pozostająca w wyraźnej sprzeczności i będąca poniekąd karykaturą jedyne go i autentycznego sposobu prawdziwej samorealizacji. W tej perspektywie brak już poniekąd miejsca na dzieci, wyjąwszy być może kaleki potrzebujące opieki rodziców. Jest to fałszywa sytuacja, za którą ktoś musi płacić. Faktycznie zaś tym kimś jest dziecko. Jak bowiem powiedzieliśmy, to właśnie dziecko ponosi wszystkie bolesne konsekwencje. (Równocześnie jednak — trzeba to zaznaczyć — pojawiły się przeciwstawne powyższym tendencje. Wiele osób obecnie zwraca uwagę na rodzinę, dokonując zaś nadzwyczaj świadomego wyboru, starają się one na własnej drodze rozwiązywać tego typu trudności).

Jestem oczywiście daleki od tego, by twierdzić, że nie było żadnych racji upoważniających do poważnej krytyki absolutystycznych nadużyć władzy patriarchalnej, uważam także, że można by było na innej drodze kształtować władzę ojcowską, a mianowicie biorąc za punkt wyjścia godność osobistą. Nie twierdzę również, że nie ma powodów skłaniających do podobnej rewizji pozycji kobiety. Nie zamierzam też przemilczeć owoców straszliwego moralizmu, który doprowadził do związków między krewnymi i do duszących się rodzin. Zaistniała w ten sposób sytuacja, która usprawiedliwia w pełni wybuch pragnienia wolności i czystego powietrza. Chcę jednak powiedzieć, że te nieodzowne krytyki oraz w pełni zrozumiałe reakcje doprowadziły jedynie do pogrubienia nici ideologicznych (albowiem pustkę religijną staramy się zawsze wypełnić jakąś ideologią) systemu z istoty swej anty-ludzkiego; tego

zaś dowodzi fakt, że właśnie dzieci są narażone na wszystkie konsekwencje takiego stanu rzeczy.

### „Ufność podstawowa” i początkowy rozwój

Atak na rodzinę — to atak na jedyne środowisko, w jakim dziecko może się rozwijać, i jedyne miejsce, w którym może ono odczuwać, widzieć i wchłaniać coś istotnego z życia, a więc: miłość, wierność i wzajemne oddanie. Nie w tym sensie, że wszystko to jest zawsze wystarczająco obecne. Przeważnie tak się nie dzieje. Rodzina jednak jest tym jedynym miejscem, w którym można by się tego spodziewać. Zdaniem René Spitza, wybitnego psychoanalityka i eksperta w zakresie emocjonalnego rozwoju dziecka, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że te dwa czynniki — zmierzch autorytetu ojcowskiego oraz nieobecność matki w domu — spowodowały bardzo szybką dezyntegrację rodziny w świecie zachodnim; konsekwencje zaś tego ujawniają się w coraz to trudniejszych problemach związanych z przestępstwem nieletnich i ze wzrastającą wciąż liczbą osób znerwicowanych lub chorych psychicznie pośród dorosłych<sup>8</sup>.

Prawdziwym fundamentem dobrego życia w latach późniejszych jest harmonijne współżycie matki z dzieckiem w pierwszym roku życia. Innymi słowy, owocem pierwszego okresu życia winno być dla dziecka poczucie „ufności podstawowej”, która pozwoli mu w przyszłości stanąć w obliczu życia i świata, broniąc integralności własnego stylu życia przed wszelkim zagrożeniem czy atakiem<sup>9</sup>. Kto miał taką autentyczną matkę, ten wie, że właśnie jej zawdzięcza taki rodzaj wewnętrznej pewności.

Kiedy natomiast, na skutek jakiejś grossolańskiej formy nie dbalstwa, to pierwsze stadium życia przeobraża się w całkowitą klęskę, pozostawi ono w dziecku, a następnie w młodzieńcu stałe poczucie nieufności, niepewności i niepokoju, uniemożliwiając mu na zawsze dobre samopoczucie w odniesieniu do siebie samego i do świata. Chyba że, dodajmy, człowiek taki postara się przełamać zaistniałą sytuację psychologiczną mocą żywej wiary. Z drugiej jednak strony zjawia się ponownie Erikson z twierdzeniem, że pewien rodzaj wiary musi występować już u matki, o ile prawdą jest, iż to właśnie ona ma ją przekazać dziecku poprzez swoistą perswazję somatyczną, jaką stanowi podstawowe poczucie dobroci i zaufania.

Moglibyśmy w związku z tym zgodzić się, na pierwszu rzut oka,

<sup>8</sup> R. Spitz, *The first year of life*, New York 1965.

<sup>9</sup> E. H. Erikson, *Growth and crises of the healthy personality*, *Psychological Issues*, t. I, n. 1, New York 1959.

z twierdzeniem, że jedynie dzieci uczuciowo upragnione mogą stać się ludźmi szczęśliwymi. Co jednak to oznacza w rzeczywistości? Czy na przykład to, że upragnione dziecko przeobrazi się w szczęśliwego człowieka dorosłego nawet wówczas, gdy — świadomie i dobrowolnie, a także bez najmniejszego wyrzutu sumienia — jego brat lub siostra, niechciani, wypadną z gry? Jest to jednak niemożliwe. Albowiem zanim jeszcze dzieci uświadomią sobie — a pod tym względem nic nie umyka ich uwadze — że miłość i pobłażliwość, w jakiej zostali wychowani, ma swoje granice, hipokryzja świata osób dorosłych zawładnie już nimi bardziej od czegokolwiek innego. Jeżeli choć raz uświadomią sobie, że pozwolono im żyć w drodze przypadku, albo też że zjawili się na świecie w momencie, który się zgadzał w pełni z obliczeniami rodziców, którzy..., to perspektywa ich własnego szczęścia mocno się skurczy. Będą mogli się dostosować i zlekceważyć siebie; albo też osiągnąć to wszystko, co tylko dla nich możliwe; albo wreszcie odwrócić się z najwyższym oburzeniem od tej społeczności dobrobytu, nawet z pistoletem w ręce. Trudno im jednak będzie znaleźć lub odnaleźć zaufanie w miłość i wierność.

Spoleczeństwo, które przyjmuje jedynie upragnione i przywłaszcza sobie prawo dysponowania życiem niechcianym, nie ma żadnych powodów do utyskiwania i do oplakiwania wynikających stąd konsekwencji.

### **Upragnieni przeciw niechcianym: rodzaj spożycia**

Jeżeli tak się rzeczy mają, mówienie o „pożądanych” i „niechcianych” nie ma nic wspólnego ze szczęściem dziecka. Chodzi tu raczej o rodzaj spożycia podobny do nagromadzenia własności i wartościowych wyborów, czyli krótko mówiąc o korzyść osobistą, która stawia dzieci na równi z dobrami użytecznymi. W tej sytuacji nie będzie już możliwy beznamiętny i otwarty dostęp do dziecka, albowiem oczekuje się od niego pozytywnej odpowiedzi na wymagania zapisane uprzednio w „księdze spożywców”

Dlatego też jestem niekiedy skłonny do sformułowania następującego wniosku: niełatwe może być życie dziecka niechcianego, ale dziecko upragnione nie wygrało także swego losu na loterii.

Jako typowy przykład dziecka upragnionego nasuwa się mi na myśl opisywane przez Woodehouse dziecko odpychające. Mam tu na uwadze pewien grossolański typ niewłaściwego i wykoszlawionego wychowania, którego owocem są dzieci „wytresowane”, źle wychowane i bezczelne, z którymi trudno jest nawiązać normalne stosunki ludzkie. Taki rodzaj wychowania wydaje się (ostatecznie)

pochodzić z tego samego typu oczerniania, a nawet pogardy, którego żertwą staje się wiele dzieci niechcianych. Przypominam sobie dziewczynkę, której rodzice dawali niemal nieograniczoną wolność; któregoś wieczoru, podczas zabawy, powiedziała, że musi koniecznie wyjść o jedenastej, podając jako rację to, że musiała obiecać ojcu, iż będzie o tym czasie w domu. Znalazła wymówkę nie dlatego, że faktycznie chciała odejść, lecz jedynie w tym celu, by — w swym smutku — przekonać innych o tym, że ma ojca prawdziwie o nią zatroskanego.

Chodzi oczywiście o znalezienie między dwiema krańcowościami — pozwalaniem na wszystko i surową dyscypliną — sposobu na wyrobienie u dziecka szacunku dla siebie samego i własnej osobowości poprzez wyznaczenie niezbędnych do tego granic i domaganie się od niego jedynie tego, co jest ono w stanie dać. Jestem przekonany, że rodzice, którym to się udaje, są ludźmi zadowolonymi z tego, kim są, oraz z tego, co mają, a więc ludźmi, którzy są w stanie przekazać dzieciom odpowiednią ilość nieegoistycznej miłości. Mówię o rodzicach, którzy nie „biorą” dziecka — jak to wymownie wyraża współczesny język holenderski, ale je „mają” nie z miłości własnej, ale w pierwszym rzędzie z miłości do niego samego. Przykładem mogą tu służyć rodziny adoptujące sieroty. Nie jest wcale rzeczą złą, opiekować się czyimiś dziećmi. Przy okazji można by jednak uświadomić sobie, że inaczej sprawa się przedstawia, gdy dziecko przynależy do rodziny, a zgoła inaczej, gdy jest jej jedynie powierzone.

Obok braku egoizmu — z czym wiąże się również nieoczekiwanie niczego w zamian za fadygi podejmowane wobec dziecka — drugim ważnym czynnikiem jest to, by rodzice nie tylko samych siebie poświęcili, ale także, by całą swą obecnością i stanowiskiem, posiadanym w danej społeczności i uznawanym przez nią, skierowywali uwagę dziecka na przyczynę transcendentną. Z tego punktu widzenia czasy bardziej religijne są uprzywilejowane, albowiem cechują się porządkiem hierarchicznym, przyznającym także rodzicom pozycję dzieci — co uwalnia ich z konieczności od obowiązku bycia nieomylnymi — wobec naszego Ojca niebieskiego, od którego wszelkie ojcostwo pochodzi.

Właśnie brak tego „najwyższego poziomu integracji” podważa, między innymi, w znacznej mierze wychowanie w społeczeństwie zsekularyzowanym (totalitarnym, kapitalistycznym albo też demokratycznym). W społeczeństwie takim ponadto autentyczne miejsce ojca zostaje z łatwością przyjęte (i zastąpione) przez „Ojca Państwo”, „Pouvoir Social”, wywołując w jednostce — na skutek

swej anonimowości — poczucie całkowicie obezwładniającej bezsilności<sup>10</sup>.

Powracamy w ten sposób do punktu wyjścia. Poczęte już dzieci winny być z radością przyjęte; nie ważne to, jakie będą, ani też to, czy ich obecność sprawi większy lub mniejszy kłopot. Nie powinny być ani upragnione, ani też niechciane. Winny być przyjęte takimi, jakimi są, bez uprzedzeń i żadnych warunków. W ten sposób wychowanie staje się procesem wzajemnym, dwustronnym, jakim powinno właśnie być. One — dzieci — dopomagają nam w wychowywaniu ich do godności ludzkiej, w uzewnętrznianiu naszych wartości w miarę, jak okazujemy się godni, szanując ich przeznaczenie oraz osobiste wartości. Będziemy niewątpliwie popełniali różnorodne błędy, które pozwolą nam świadomie się upokarzać. Najlepszą rzeczą, jaką jesteśmy w stanie uczynić, jest dobry przykład dawany dzieciom, połączony ze stawianiem ich sobie za wzór. Tak właśnie powinno być. W ten sposób to, co czynimy, a także to, czego nie czynimy wobec dzieci, staje się najbardziej wymowną miarą dla ocenienia naszego dobra i zła. Uświadamiając sobie fakt, że wszelkie zło jawi się właśnie jako takie w cierpieniach dzieci, rozumiemy lepiej sytuację odwrotną. Dzieci ukazują nie tylko nasze ciemne strony, ale i nasze światło: „A kto przyjmuje jedno z tych najmniejszych, Mnie przyjmuje” Oto druga strona medalu, którego pierwsza strona wskazuje na kamień młyński.

Pozaczasowość, w jakiej dziecko żyje, jest w jakiejś mierze wiecznym obrazem człowieka, „la mémoire de l'éternité”<sup>11</sup>. Obrazem danym nam jako wzór w podejmowaniu wysiłku, abyśmy się stali tym, czym w gruncie rzeczy jesteśmy.

### Zakończenie

Niekiedy odnosi się wrażenie, że wszystko zostało na zawsze stracone. A następnie, w jakimś bardziej słonecznym dniu, idzie się alejką w parku i dostrzega dziecko oddalające się szybko do domu. Porusza się ono we własnym tylko świetle, nieświadome zupełnie tego, co je otacza — a tym bardziej twojej przy nim obecności — pośpiewując sobie własną piosenkę. Wówczas uświadamiasz sobie, że niczego się nie traci na zawsze i że wszystko może być jeszcze możliwe.

tłum. ks. Lucjan Balter SAC

<sup>10</sup> G. Mendel, *La révolte contre le Père*, Paris 1968; H. Fortmann, *Inleiding tot de Cultuurpsychologie*, Biltheven 1971.

<sup>11</sup> P. Chaunu, *La mémoire de l'éternité*, Paris 1975.